WARSZAWA KRAKÓW LWÓW POZNAŃ

BLUSZCZ

№ 5. ROK WYDAWNICTWA LIII. Dnia 2 Lutego 1918 r.

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie: Mk. 2.15, kwartalnie: Mk. 6.25, półrocznie: Mk. 12.50, rocznie: Mk. 25.

CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelowy lub jego miejsce „za tekstem": Mk. 1.50; ogłoszenia zwycz. 65 f. „Nadesłane" Mk. 2.50, margines Mk. 18. Kolumna Mk. 360. Załączniki Mk. 40 za tysiąc.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO . . . Fen. 65.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM
Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ

Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.
Drobnych rękopisów nie zwraca się. — Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

Prenumerata na prowincyi, w Austryi, Galicyi, w Rzeszy Niemieckiej i W. Ks. Poznańskiem:
Rocznie: Mk. 30, półrocznie: Mk. 15, kwartalnie Mk. 7.50.

W Lublinie „Bluszcz" w biurze dzienników „REKORD" — Kapucyńska 2.

W Krakowie u W-go D. E. Friedleina—Rynek 17.

We Lwowie — w biurze dzienników W-go Henryka Buchstaba — ul. Karola Ludwika 21.

BOLESŁAW ZAHORSKI.

Ex re rocznicy Powstania Styczniowego.

(DOKOŃCZENIE).

II.

Tłem tej walki—której na imię w strategii jest „mała wojna", albo „partyzantka", a która zadziwia swem ogromnem bohaterstwem — był las, który wówczas nie przetrzebiony jak dziś, pokrywał większą część obszaru Polski. Ten las był miejscem zbiórki dla nieuzbrojonych spiskowców, którzy mieli się w jego wnętrzu w żołnierzy przeistoczyć, lub—zależnie od okoliczności — bezzwłocznie, z gołemi rękoma, na bagnety i artyleryę nieprzyjacielską się porwać. Las ten, do którego tak chętnie garnęła się młódź i weterani z 31 roku, krył w swoim gąszczu, lub na rubieżach śmierć, nagłą, jak błyskawica, lub konanie przewlekłe, bez ratunku, bez kropli wody, prócz tej, którą dostarczały mokradła... Las ten, stary druh, wypróbowany towarzysz i opiekun powstańców osłaniał ich przed wzrokiem nieprzyjaciół, szelestem swych zeszłorocznych liści i suchych gałęzi dawał znać o zbliżającem się niebezpieczeństwie, ofiarowywał niejednokrotnie możność nagłego napadu i tylekroć możność odwrotu—i ratunku—przed śmiercią, lub hańbą i naigrawaniem się niewoli. W nim to odbywały się ciche narady, co to poszeptem tajemnym wsiąkały w las, w nim rozlegały się krótkie rozkazy żołnierskie i odbywały się ćwiczenia żmudne, mające w najkrótszym czasie spiskowców przeistoczyć w żołnierzy, i modlitwy brzmiały korne, lub niecierpliwe, z natarczywemi prośby o zwycięstwo i grzmoty strzałów karabinowych i przewlekły, echem podwojony, potrojony krzyk — „hurra!" i miało miejsce to załamanie się hartu nagłe i te zapewnienia gorące, koleżeńskie: — „nie nadaremno!" i ten nakaz srogi, nieustępliwy:—„wytrwaj!".

A potem—w tymże lesie powstańczym—mogiły i krzyże, co to, jak grzyby, nagle, pod świerkiem z ziemi się wzniosą i echa kroków samotnych, szukających tych krzyży... I łzy spadające na poszycie ziemi—krzewów gałęzie i mech leśny...

Lecz nie tu, w tym powstańczym lesie kończy się męka 63 roku. Znamy szlaki, któremi pędzono ujętych w lesie powstańców, wiodące do miast polskich, kędy o świcie tak często słyszano salwy rozstrzeliwań i na stoki cytadeli warszawskiej, którą Mikołaj I-szy kazał zbudować w przeciągu roku, by grozą zbombardowania trzymała na uwięzi buntującego się ducha miasta, a gdzie już zawisł w r. 1833 Artur Czarny Zawisza, podczas styczniowego dramatu Jaroszyński, Ryll, Rzońca, Romuald Traugut, Jeziorański, Krajewski, Toczyski, Żuliński, Waszkowski i tylu innych. Znane są w Polsce drogi, wiodące w głąb pustych stepów Rosyi, „kędy wiatr zimny wionie", a któremi setki kibitek z rozkazu cara wywoziło przez tyle dni i miesięcy ojców, matki i dzieci, lub któremi pędzono, tak, jak to oddał Grottger w obrazie „Pochód na Sybir", partye zesłańców na osiedlenie, lub do katorg, i ten szlak straszny „Władzimirski", prowadzący 6 tysięcy wiorst z Moskwy na kresy Sybiru—do zniewagi grobów dzieci polskich, wywłóczonych z Polski i rozsianych jako pomniki męki wzdłuż całego szlaku, do konania zniesławionych matek, do ponurego milczenia zdruzgotanych dusz, do bezsilnej złości rąk, przykutych ciężkim łańcuchem do taczki, do buntu zabajkalskiego, do egzekucyi w Irkucku, do zatraty pamięci polskiej mowy i obyczajów, do zbędnego, pełnego męki życia i zbędnej śmierci na obczyźnie.

Rok 1863 nie jest li tylko posągiem męki, lecz i sławy polskiego imienia. Walka — prowadzona w potwornie złych warunkach przez naszych ojców — daje wyraz takiemu niepospolitemu męstwu, takiej wielkości ducha i takiej ofiarności, jakiemi powstanie listopadowe wykazać się nie jest w stanie. I tu i tam nie brakło odwagi osobistej, lecz styczniowe powstanie góruje stanowczo pod względem wytrzymałości nad innemi. W 1830 r. powstanie miało 29 tysięcy gotowego wojska, nie licząc rezerw; 22 stycznia z ogólnej niesprawdzonej sumy 25 tysięcy spiskowców zaledwo 1,500 ludzi bierze udział w napadach na garnizony rosyjskie; i ci zresztą nie byli należycie uzbrojeni. W r. 1830-ym istniał skarb polski, którym mogli rozporządzać Chłopicki i jego następcy w latach 1863—4 tylko nadzwyczajna ofiarność społeczeństwa, dobrowolnie płacącego podatek narodowy, następnie ekspropryacye pieniędzy rządowych, w tem 4 milionów rubli z głównej kasy przez Waszkowskiego, zapewnia możność sprawnego działania organizacyi narodowej.

Po 29 listopada wojsko i władze rosyjskie usunęły się ze stolicy, pozostawiając w ręku władz powstańczych cały, sprawnie funkcyonujący aparat państwowy, nie wyłączając prawodawczego organu narodu—sejmu. Podczas styczniowych wypadków władze rosyjskie ani na chwilę nie opuściły Warszawy. Podczas wojny polsko-rosyjskiej 1830—31 r. żołnierz polski aż do końca kampanii mógł wierzyć w zwycięstwo, choćby dla tego, że armia polska ani razu pobita w tej wojnie nie była. W „sześćdziesiątym trzecim" żołnierz wal-

czy bez nadziei zwycięstwa, z pewnością lub z przewidywaniem haniebnej śmierci, i pomimo to nie składa broni, ani jej nie rzuca, by się schronić zagranicę, lub wrócić wprost do domu — i to jest szczyt bohaterstwa. Listopadowe powstanie trwało 8 miesięcy. Styczniowe przeszło dwa lata. Ks. Brzózka i kowal Wilczyński ujęci po zbrojnym oporze powieszeni zostali w Sokołowie 24 maja 1865 r.

Podziwu godne jest nietylko to męstwo walczących orężnie, lecz i nieporównana, pełna poświęcenia praca t. zw. organizacyi cywilnej, dającej dzięki nadzwyczajnej swej sprężystości i nadludzkiej wprost zdolności do ofiar, możność długotrwałego oporu partyom powstańczym. Intendantura wojenna, poczta, służba zdrowia—wszystko to należało do organizacyi cywilnej. Pomnik nieskalanej cnoty obywatelskiej i żołnierskiego hartu postawiła sobie w 63-im r. kobieta polska. Pamiętamy dobrze obraz Grottgera, przedstawiający żonę i matkę, lejącą kule dla męża. Czytając: „Rozdziobią nas kruki, wrony“ uświadamiamy sobie niebezpieczeństwo, jakiemu podlegała organizacya cywilna. I dlaczegoż mielibyśmy kobietom-Polkom, pełniącym rolę sanitaryuszek lub pocztarek w tych potwornych warunkach represyi wojskowych rosyjskich, — dostawcom, lub dostawczyniom amunicyi — odmówić nazwy żołnierzy. Wszak Rogaliński z bandą nieuzbrojonych powstańców odniósł pierwsze zwycięstwo nad Koźlaninowym. Broń zatem nie zawsze była warunkiem sine qua non miana żołnierza dla powstańca. Jeśli weźmiemy inny sprawdzian: — przynależność do organizacyi, nawyknienie do słuchania rozkazów, podporządkowanie swej indywidualnej woli władzy naczelnika, o ile-ż częstokroć wyżej będziemy musieli postawić członków cywilnej organizacyi, od żołnierzy, demoralizowanych ustawicznemi porażkami i zmianą dowództwa... Autor wspomnianego już przez nas dzieła o „22 stycznia 1863 r.“, J. Piłsudski, mówi, iż teoretycznie biorąc, cały naród w walce uważany jest jako rezerwa — to znaczy, że każdy zdolny do noszenia broni powinien być uważany za żołnierza, lub kandydata na żołnierza. Wobec braku egzekutywy powstanie mogło odwoływać się do poczucia obowiązku walki i śmierci dla ojczyzny jej obywateli. W rezultacie... „rezerwa“ nie dopisała i militarnego zwycięstwa powstańcy nie odnieśli.. Tem bardziej powinniśmy cenić odwagę tych, którzy się dobrowolnie do szeregów stawili, gdyż odwaga garstki jest z reguły większa, niż odwaga tłumu. I jeszcze jedno. Sztandar, który został podniesiony w powstanie i który w niem obniżony nie został, jest tak wzniosły, że ściągnął na siebie oczy wszystkich i zjednał sobie sympatye demokracyi całej Europy. Wypisane na nim jaśniały dwa hasła—Niepodległości Polski i zniesienia pańszczyzny. Drugie z tych haseł zostało uskutecznione. Naprawiona została krzywda, zubożająca Polskę, i pozbawiająca ją szerszego rozmachu pancernych skrzydeł od czasów króla Jana Olbrachta.

Dlaczego nie zostały urzeczywistnione obydwa cele? Trudno odpowiedzieć na to w streszczeniu. Spróbujmy jednak wskazać tu na główne przyczyny. A więc—stępienie w bezpaństwowej, dotkniętej najazdem Polsce świadomości narodowej; nieuobywatelnienie pomimo tragedyi Sejmu Wielkiego i manifestu połanieckiego przeszło trzymilionowej masy włościaństwa; ugodowa, utopijna polityka Wielopolskiego, zachęcająca do pójścia po linii mniejszego oporu, rezygnująca z Litwy i państwowości Polski na rzecz wątpliwej autonomii w granicach imperyum rosyjskiego—polityka gruntująca zarówno w klasach oświeceńszych, jak i w ludzie wiarę w zbawienność reform, mających swe źródło w Petersburgu, a więc w woli obcej i wrogiej... Reforma czynszowa, połowiczna, a więc niewystarczająca, przeprowadzana głównie dzięki staraniom Towarzystwa Rolniczego,—zapowiedziana ukazem carskim, szerzonym usilnie przez Wielopolskiego wpajała w ludzie polskim przekonanie, że car szczerzej daje i więcej chce dać, niż szlachta. Wahadłowa polityka „Białych“, gotowych w pewnym momencie do wydania przywódców „Czerwieńców“ zemście margrabiego i władz rosyjskich, później—w trakcie powstania — bojąca się socyalnych haseł i opierająca swe nadzieje na stosunkach dyplomatycznych z dworami Europy... Czerwieńcy i sprawcy powstania mieli sympatye demokracyi europejskiej, prowadzącej walkę ze swemi rządami. Niestety demokracya ta, zwycięska w 1848 r., w 1863 traciła swoje wpływy. Pomoc, jaką okazała powstaniu była nieznaczna. Ograniczyła się do udziału w szeregach powstańczych francuzów, włochów, a nawet rosyan i do nieudanej wyprawy morskiej Łapińskiego i Bakunina. „Biali“ liczyli na sympatye i na pomoc rządów i—zawiedli się. Niektóre z nich zwłaszcza państw ościennych, ucieszyły się szczerze, gdy powstanie zostało stłumione, inne ograniczyły się do protestów.

Żywa jednak część Polski nie zrezygno-

JAN CZEMPIŃSKI.

Warszawa podczas wojny.

XII.

Knajpka—jakich wiele.

W dzień—skromna, zaciszna. Zachodzi nieco gości na tanie podczas wojny obiady dwumarkowe, częściej ktoś—na wódki kieliszek, wreszcie kobieta, co z groszem bardzo liczyć się musi, o twarzy znużonej, w sukni wyszarzanej na szklankę mleka czy herbaty.

Wcześnie wieczorem gaśnie światło od frontu. Rozwidnia się natomiast w pokojach dalszych, przy kuchni.

Gospodarz znosi butelki i paki z żywnością. Wie, że co noc ma żniwo obfite. Choć w dzień niewiele zarobi, niekiedy zaś dołoży na szarych gościach, co się z każdą żelazną monetą liczyć muszą, zejdą się w nocy ci, którzy nie żałują grosza.

Dziewczyna przy bufecie, co miesiącami słońca nie ogląda, sennie przechodzi ze sklepu do stołu w kuchni. Baczy, czy wszystko gotowe, gdy zaś stwierdzi, że wystarczy dla ptaków nocnych wódki, piwa, mięsiwa i wina, szuka chwili wytchnienia. Zmienia skromną bluzkę na strojniejszą nieco, poprawia włosy, niekiedy wepnie w jasne sploty wstążkę barwy Havanna, co jeszcze silniej niezdrową bladość jej twarzy odbija, siada przy stole i czyta.

Gdy książka ciekawa—czyta z zapałem, jak gdyby w inne przeniosła się światy. Zdaje jej się, że o nią to właśnie walczyłby tak żarliwie ów bajkowy rycerz dworu któregoś z Ludwików... Czasami, gdy książka nie ma epizodów ciekawych—dziewczyna zasypia. Drzemie — i znów marzy. Aż zbudzi ją rzeczywistość:

— Goście przyszli!

Wchodzi o zmiętej, zniszczonej życiem twarzy stary muzykant. Skończył pracę w orkiestrze, znalazł nieco gotówki w kieszeni i — nałogowo — do knajpki przed snem zajść musi. Zajmuje mały stolik w kącie, patrzy przed siebie i nic nie widzi, zaś w mózgu zmęczonym błąka się myśl o tych dobrych czasach, gdy to, hej, przed wojną, można było wszędzie—wódki za dziesiątkę, piwa na przekąskę za drugą... Teraz zaś—majątek wydaćby na kilka wódek i przekąskę można.

Grajek niedługo siedzi samotny. Po nim wkrótce z pewną siebie miną wchodzi magik, co w lepszych czasach zbił nieco grosza. Ustały z wojną dochody, oszczędzać się trzeba, lecz jakże człowiekowi bez wódki.

— Panno, panno Wandziu, albo inaczej z przeproszeniem, dla mnie jedna angielska...

— Nie mamy; jest zwyczajna.

— Właśnie, ale angielska ona jest, bo po niej prędzej angielska śmierć przyjdzie.

Rad z dowcipu siada przy stoliku i, mrużąc oczy, co chwila zagaduje, to do dziewczyny, to do gościa wieczornego. I myśli, czy pić jeszcze, choć wie od 30 lat, że po pierwszym wypije zawsze następne.

Z piersi grajka wydobywa się suchy kaszel.

Uśmiecha się dobrotliwie magik.

— Znam, znam! Koszelew na 57! Co? Już bliżej niż dalej...

— Jak komu!—z drugiego stołu odpowiedź pada.

— Ano! Wiadomo!

Lecz stary grajek do rozmowy nie skory. Nie obchodzi go świat, byle się wojna skończyła i wódka staniała i byle choć czasem najeść się można było. A pozatem...

Wchodzi do knajpki gość za gościem. Już się i „szef“ przy kuchni krzątać zaczyna. Z lubością ogląda i przekłada płaty

wała z urzeczywistnienia dawnych marzeń. Pamięć o posłannictwie Polski Powstanie 63 Roku przekazało chwili obecnej. Największy bohater 1863 r., twardy, niezachwiany Litwin, Romuald Traugut nie zostawił nam żadnego w formę słów ujętego testamentu. Świadectwo jednak historyi mówi, że stojąc spokojny, u podnóża szubienicy i bez zmrużenia oczu oczekując śmierci, uważnie przetarł okulary, by módz się spojrzeć na miasto lub na tłum zgromadzony licznie w momencie egzekucyi.

A może ostatni dyktator chciał nie tylko ujrzeć Warszawę i rodaków, lecz ujrzeć raz jeszcze przed zgonem Polskę, spojrzeć Jej wprost w twarz i wyczytać z Jej wyrazu czy żyje, czy już umarła? czy chce walczyć, czy nie wyrzekła się prawa do samoistnego, wolnego życia i czy to swoje prawo niezłomne twardym, orężnym czynem i wolą krwi szczodrej a ofiarnej poprzeć zdoła. A może Romuald Traugut następcy dla siebie szukał — i po przez głowę zgromadzonego tłumu — miał zajrzeć — aż w głąb Litwy! Może przeczuwał, że tam narodzi się człowiek, który wpierw w sercu swojem, zaś potem w Polsce całej rozpali dzień 6-ego Sierpnia w dzień radośnego hejnału, który rozpostrze swoje złote skrzydła nad Polską.

STEFANJA BOJARSKA.

Nauczyciel ludowy jako społecznik.

(CIĄG DALSZY).

Zorganizuje ją w Kółko sportowe na podstawach junackich, zachęci ją do samokształcenia i umiejętnie taką ich nauką pokieruje, stworzy z tej młodzieży chór, orkiestrę, trupę teatralną, kółko miłośników wycieczek, kółko zwolenników trzeźwości, straż ogniową i bibliotekę z czytelnią. A młodzież ta będzie wcześnie wprawianą do spełniania obowiązków natury społecznej, obznajmiana z potrzebami wsi, gminy, powiatu i kraju całego. Przy jej pomocy organizowane będą zebrania, odczyty i kursy; ona to zimą prowadzić będzie „kółka czytelników“, kolportaż pożytecznych książek i gazet. Jej zapał i dobre chęci oraz młoda ruchliwość będą wyzyskane przez nauczyciela-społecznika, który w stowarzyszeniach dla młodzieży właściwych, będzie ją wychowywał praktycznie, do przyszłej pracy szerszej, mającej na celu gruntowną przemianę środowiska w którem żyje i pracuje już na stanowisku gospodarza samodzielnego na własnym zagonie, czynnego współobywatela kraju.

Ale oprócz starszych i młodzieży, wieś polska posiada jeszcze dziatwę, i ta jest materyałem podatnym a nieraz badzo wdzięcznym do organizacyi.

Z dzieci można wytworzyć, kółko miłośników zwierząt i ptaków, można je zorganizować w chór, teatrzyk, skupić przy biblioteczce szkolnej, związać w kółka etyczne „Dobrych dzieci“. I znów te dzieci w zarządach swych stowarzyszeń, poważnieć będą i szybko czynić poczną postępy w uspołecznieniu i obyczajności, tak, że i one z czasem pomocą będą nauczycielowi-społecznikowi i starszej młodzieży wiejskiej w pracy organizacyjnej, społecznej.

Oczywiście nie podobna przypuścić, aby nauczyciel ten ogrom prac jakie tutaj zostały konturowo nakreślone mógł wykonać sam, przy swoich zwykłych obowiązkach zawodowych.

Jest to niemożliwe, ale dość będzie, jeśli nauczyciel do tych wszystkich dobrych, a w skutkach błogosławionych poczynań da inicyatywę, a więc pomysł jasno przedstawiany, dostarczy odpowiednich ustaw, zwoła zebranie organizacyjne i na początek pewną pomoc i składkę ofiarną.

Na głowie i odpowiedzialności nauczyciela-społecznika spoczywać będzie, jeno pierwszy okres organizacyjny w nowo założonej instytucyi.

Ludzi podkształconych i uświadomionych, a przezornie do pracy w instytucyi wiejskiej dobranych, nauczyciel społecznik prędko usamodzielni, a potem już tylko od czasu do czasu kontrolować będzie ich pracę i rozwój danego stowarzyszenia.

Pozatem jeden dzień w tygodniu w godzinach wieczornych nauczyciel - działacz będzie miał u siebie biuro wszelakich porad i w ten dzień pracownicy z różnych istniejących stowarzyszeń wiejskich, jak i twórcy nowych pomysłów nawiedzać będą jego mieszkanko, aby zasięgnąć rady i omówić szczegółowo różne, bardziej zawiłe dla nich sprawy. Od czasu do czasu, przypuśćmy raz na rok w dzień Nowego Roku np. zwoływane będzie zebranie, złożone z delegatów poszczególnych instytucyi wiejskich i zaproszonych gości. Na takiem zebraniu czyniony będzie publiczny rachunek sumienia z prac w ciągu roku czynionych przez przedstawicieli każdej z istniejących instytucyi. Nauczyciel wychowawca wiejskiej gromady postara się, aby na ten dzień uroczysty przybył jakiś dobry prelegent, omawiający jedną z aktualnych spraw z dziedziny politycz-

---

mięsa, rzuca na patelnię, dobiera jarzyny. Dziewczyna gęsto wódkę w karafkach wydaje, myśląc, czy będzie wolna chwila, gdy znów do książki będzie mogła powrócić.

W gwarze mijają popółnocne godziny. Wychodzi gość jeden i drugi, inny cicho drzemie przy szklance piwa lub „czarnej“.

Gospodarz widzi, że połów się kończy. Oblicza w myśli dochody i taksuje, czy z tych, co są, da się co jeszcze wyciągnąć.

Zły, że magik wciąż siedzi. Choć pije wódkę za wódką, lecz liczy sam dobrze a w gębie cięty.

— Pan interes z wódką dawno prowadzi?

— Ano—z piętnaście lat będzie.

— Zadługo. Pan od pięciu lat wisieć powinien.

— Niby czemu?

— A to już Napoleon powiedział, że kto wódkę przez dziesięć lat sprzedaje — można go bez sądu powiesić i zawsze będzie—słusznie.

Krzywi się gospodarz, że inni to słyszą i za nic go mieć będą, lecz boi się odcinać. Magik mocny jest i dosadny w dyalogu. Potrafi ni ztąd ni z owąd:

— Pan to bardzo podobny do jednego co też wódką handlował i ukradł mi zegarek. Dobry był, złoty, pamiątka...

I — o pamiątce myśląc — o wódkę znów woła.

— Przekąski nie trzeba. Bo to zaraz sto marek za byle...

Gospodarz szepce coś dziewczynie. Ta, wyjmuje, niby od niechcenia, kości i rzuca.

Przynęta działa. Ktoś z liczniejszego grona proponuje:

— W siódemkę — co?

Wnet kości na stół przechodzą. Gra się zaczyna.

. Panienka z nami?

Dziewczyna spogląda pytająco na gospodarza. Przyzwala.

Garstka pieniędzy z szuflady i dziewczyna z wahaniem, ostrożnie stawia drobne kwoty na numery. Gra z powodzeniem. Kupka pieniędzy rośnie.

Tak do rana. Aż świt w okna uderzy i gości otrzeźwi, że czas do domu.

Dziewczyna rada z wygranej, lecz wie, że w życiu nie zawsze korzysta ten, co wygrywa... Gospodarz śledził grę bacznie. Dziewczyna zdaje kasę, rachunki ma w porządku. Chce już iść spać...

— A wygrana?

Żałośnie, bezradnie spoglądają duże oczy dziewczyny na dręczyciela.

— Kapelusza nie mam. Trudno mi wciąż w starym chodzić... I pończochy...

— No, no! Oddaj, coś wygrała. Przecież czasy ciężkie. Będę miał, to oddam...

Łzy się kręcą w oczach dziewczynie. Boi się oponować, bo wie, że gospodarz potrafi i pięści użyć. I pensyi nie płaci i wyciąga jeszcze grosz każdy.. Lecz cóż. Twarde życie... Za ochłap pożywienia przy gościach pracuje w dzień i w nocy. Ani jej kościół, ani rodzina, ani rozrywka, ani myśl o przyszłości dla siebie.

A opodal w wielkiem mieście toczą się zażarte boje o prawa polityczne kobiet, o udział w reprezentacyi miasta i kraju...

Z oczami bitego psa dziewczyna wyciąga kilka marek i na stół kładzie. Wampir szybko obliczył.

— Więcej! To nie wszystko...

Dziewczyna chce się bronić.

— Muszę sobie cokolwiek zostawić. Dla matki... prosiła...

Nie pomaga.

— Tuś wygrała, tu oddaj... A nie, to...

I gest łapy rzeźnickiej—skuteczny...

Z piersi dziewczyny szloch się wyrywa. Na niedolę i krzywdę, za które niema się komu ująć...

nego, gospodarczego lub społecznego życia.

Przebieg tych dorocznych zebrań delegatów wszystkich instytucyi, zgodnie radzących na takiem zebraniu i nad tem, jakie prace do wykonania każda z nich podejmie w ciągu roku następnego, będą wpisywane do osobnej księgi protokułów, która będzie czemś w rodzaju kroniki życia wiejskiego.

Rzecz prosta, że z czasem, gdy rozwój życia stowarzyszeniowego znacznie się posunie, a ludzie nawykną do ofiarności na cele ogólnego dobra, musi się zrodzić myśl pobudowania „Domu Ludowego“, w którym wszystkie, istniejące od dłuższego czasu instytucye, mogłyby znaleźć wygodne i odpowiednie pomieszczenie.

(DOK. NAST.).

W KALEJDOSKOPIE SCENY.

Wystawiona z ogromnem powodzeniem w teatrze Rozmaitości „Konstytucya“ Gorczyńskiego jest silnie namalowanym obrazem scenicznym w 4 odsłonach, posiadającym mocne, a głębsze akcenty dramatyczne. Ujęcie tematu, dość śliskiego, subtelne i lekkie pozwoliło twórcy „Bagienka“ zatrzymać się szczęśliwie na krawędzi melodramatu: „Konstytucya“ aczkolwiek w układzie i nastroju zbliża się nieco do typu sztuk, zwanych melodramatami, melodramatem nie jest. Tło jest podmalowane zręcznie, żywo, lecz nie jaskrawo, typy zaobserwowane umiejętnie, naszkicowane pewną ręką doświadczonego artysty, bez przesady. Wybornie udaje się autorowi omijanie trudności i niebezpieczeństw, wypływających dla budowy sztuki już z samego tematu *par excellence* melodramatycznego. Szlachetność linii, głębokość tonów i szczerość akcentów lirycznych sprawiają, że w sztuce nie ma nic, coby raziło przesadną ckliwością, efektownością jaskrawszą... Jest „kawałek życia“, jest barwny o silnem napięciu dramatycznem obraz, opowieść sceniczna o rzeczach, które były, które się zdarzać mogły w niejednej rodzinie w tamtych, nie tak odległych, a tak pamiętnych dla nas czasach...

Gra „Konstytucyę“ teatr Rozmaitości tak świetnie, że trudno sobie wyobrazić, aby mogła być gdziekolwiek zagrana lepiej.

Frenkiel jest świetnym Borzeckim, zasadniczo główną postacią w sztuce, około niego *de facto* obraca się cała intryga niezawiła, prosta. Autor opowiada dzieje rodziny Borzeckiego, starego urzędnika, od 33 lat będącego na służbie państwowej. Borzecki — narysowany jest prawdziwie przez Gorczyńskiego, a pojęty i odtworzony przez Frenkla—nie waham się użyć tego słowa: *genialnie*. To, co daje Frenkiel w „Konstytucyi“, nie jest już grą aktorską: to nie odtwórczość, to już prawdziwa, szczera, wybitna twórczość...

Twórczość taka, jaką widywało się niegdyś na scenach polskich w tych czasach, gdy jeszcze żyli i grali Królikowski, Żółkowski, Ostrowski i im podobni... twórczość, która sprawia, iż zupełnie zapominamy chwilami o tem, iż to, w co patrzymy, dzieje się tylko na scenie... twórczość, która żyje...

Wielki artysta dał kreacyę skończoną, wyrzeźbioną w szczegółach, pełną przedziwnej prostoty, wolną od wszelkiej teatralności w ruchu i słowie...

Jakże blado obok niego wyglądał p. Szyllinżanka, którą szczęśliwy traf wyniósł na stanowisko bohaterki naszej pierwszej sceny, a która stanowisko to lekceważyć się zdaje. Gra bez wyrazu, zaniedbując opracowania poszczególnych momentów roli, niekiedy bardzo ciekawych... idzie po linii najmniejszego oporu, wypowiadając zdania całe bez przekonania, jednym i tym samym tonikiem... Nie ma tam życia, nie ma dobrej roboty technicznej, natomiast jest zaniedbana dykcya i aż trywialne niekiedy ruchy.

A szkoda!

P. Szyllinżanka przecież ma istotne zdolności i warunki doskonałe na to, aby utrzymać się na pierwszorzędnem stanowisku, lecz w swej karyerze nie posuwa się naprzód, zapominając, iż stać w miejscu—to cofać się...

Bardzo ładnie, w szlachetnym tonie utrzymał p. Węgrzyn rolę swoją: był szczerym, ujmującym, godnym kochania studentem, szerzącym idee wolności...

Świetnie zarysował postać drugoplanową zięcia Borzeckiego p. Bednarczyk, sprawiając swoją doskonałą grą, iż typ ten zwrócił na siebie uwagę i wysunął się na czoło. Bardzo dobrym Kazimierzem był p. Skarżyński. P. Braun-Mysłakowska wyglądała ślicznie i milutko, jako młodziutka dziewczynka, a świetną grą zwrócił swoją uwagę młody Koziarski:—talent to szczery i mocny.

Inne postacie doskonale odtworzyli pp. Bogusławska, Lorentzówna, Michałowiczówna, Rolandowa, Essner i in. Wystawa i reżyserya wyborna.

Teart Polski gra sztukę węgierską Aleksandra Hajo „Starzy i młodzi“. Tytuł zgoła niestosowny i należało go w przekładzie zmienić: niema w sztuce żadnego konfliktu między „Starymi i młodymi“, starzy nie grają w sztuce wybitniejszej roli, tylko dwoje młodych, prawie dzieciaków, krąży tam dokoła miłości. („Dokoła miłości“ — to byłby najlepszy tytuł, gdyby nie to, że jest operetka pod tym tytułem), pragnąc się dostać do zaczarowanej krainy szczęścia...

Sztuka w dwu pierwszych odsłonach ukazuje nam ciekawe typy trzech kobiet: starej panny, modnej kokotki i młodziutkiego dziewczęcia, zakochanych w 18-letnim nieśmiałym jeszcze, lecz rwącym się do życia chłopcu — daje obraz zabiegów tych kobiet o miłość młodzieńca, obraz zajmujący, skreślony w sposób nieprzeciętny, dobrze świadczący o zdolnościach autora i jego umiejętności patrzenia głębiej w dusze... Trzeci akt zawodzi: zainteresowanie gaśnie, sztuka się kończy niemądrze, a właściwie wcale się nie kończy. Publiczność nie może się zoryentować, czy autor zakpił z niej, czy z siebie, czy też może chciał głębię pozorną swoich paradoksalnych frazesów ubrać w szatę złośliwej ironii... Nie wiadomo; to jedno jest pewne, że akt trzeci jest słabo sklecony. Sztuka o mocniejszych akcentach psychologicznych przechodzi nagle w płytką farsę. Przejście jest zbyt gwałtowne i nie wywiera dobrego wrażenia.

W „Starych i młodych“ znalazła pole do popisu p. Helena Gromnicka, szczery, prawdziwy talent liryczno-naiwny, wsparty dobremi warunkami zewnętrznemi. Rola jest odpowiednia dla p. Gromnickiej i nastręcza wiele sposobności do wykazania zalet gry. P. Gromnicka miała dużo szczerości, prostoty, naiwności i liryzmu w dobrym tonie, przeprowadziła rolę konsekwentnie i wyglądała nader ujmująco, była pełna świeżości i wdzięku.

Dzielnym jej partnerem był pan Biegański; świetnie ująwszy dość trudną rolę młodego Dombradi umiał ją rozwinąć należycie i nadać ton właściwy grze starannie opracowanej i pogłębionej.

Doskonały typ kochliwej guwernantki dała p. Michorowska, wytworny wdzięk i elegancyę ujawniła p. Kozłowska, bardzo ładnie podkreśliwszy szlachetniejsze pierwiastki w duszy upadłej kobiety drzemiące i budzącą się po raz pierwszy w jej życiu miłość prawdziwą.

„Matkami“ były pp. Słubicka i Dobrzańska, „ojcem“ p. Tatarkiewicz — wszyscy troje wyborni. Świetny typ służącego hotelowego dał p. Danielewski, który z p. Gasińskim, bardzo dobrym w bezbarwnej roli kochanka Jolanty (p. Kozłowska) krzesali skry prawdziwego humoru.

Wystawa i reżyserya staranne.

Teatr Letni wznowił „Tajemniczego Dżemsa“, melodramat amerykański, efektowny, doskonale skonstruowany, zajmujący. Tytułową rolę grał z umiarem artystycznym, mocno, wybornie p. Pawłowski, a dzielił z nim powodzenie p. Grabowski. P. Grodnicki, aktor wybitnie utalentowany, znów dał jedną z ciekawych bardzo sylwetek. Pozostali wykonawcy z pp. Leszczyńską, Zarembianką, Małkowskim i Trapszą (który dobrze wyreżyserował sztukę) na czele sprawiali się doskonale i zasłużyli na uznanie.

W teatrze Małym w dalszym ciągu budzi wesołość „Pani prezesowa“ Hennequina i Webera, doskonale grana przez pp. Górską, Mrozińską, Chmielewskiego, Kindlera, Neubelta i in.

Teatr Nowości wznowił odnowioną, przerobioną i starannie wystawioną przez dyr. Śliwińskiego operetkę „Manewry jesienne“ Kalmana, która odzyskała dawną sympatyę publiczności i znaczny osiągnęła sukces.

Teatr Praski wystawił „Głośną sprawę“ D'Ennery'ego i Cormona, jeden z lepszych melodramatów, i „Karpackich górali“ Korzeniowskiego.

Teatr Popularny wznowił tragedyę Słowackiego „Mazepa“ z pp. Weberówną, Jurandem i Breczem w rolach głównych, a teatr Powszechny—„Ich czworo“ Zapolskiej, gdzie znalazła wdzięczne pole do popisu p. Szpakowska.

Tad. Kończyc.

OR-OT'OWI (ARTUROWI OPPMANOWI)

zamiast sprawozdania z jego „Pieśni o sławie".

Ołtarza narodowych strażniku pamiątek!
Tradycyi święcicielu, bardzie staromiejski!
Starej onej Warszawy każdy głaz i szczątek
Powieścią mówi do Cię chwały czarodziejskiej!

Na Twej lutni trącenie z toni elizejskiej
Wstaje duchów rycerskich zawsze skory wrzątek, —
Jak szum starych chorągwi, jak zew dobrodziejski,
Pieśń Twa drogę im ściele do blizkich już świątek!

Ciesz się, wierny!... Zasługa bez czci nie zostanie:
Oto idzie już cała poświęcona rzesza, —
Na czele książę Józef, twoje ukochanie —
PRZYSZŁOŚĆ wiodą,—ta do Cię najpierwej pospiesza:
Za Twoje u sztandarów pieśnią wartowanie
Już Ci order VIRTUTI na piersi zawiesza.

JÓZEF JANKOWSKI.

ZOFJA R. NAŁKOWSKA.

Sielanka.

(CIĄG DALSZY).

IV.

W pewną niedzielę dane nam było poznać samego właściciela posesyi i owych zwierząt. Pani Dziobakowa zaprezentowała nam szczupłego, zgarbionego nieco pana o bardzo jasnym zaroście. Pan Dziobak przyjechał na wieś do żony w surducie bardzo długim i dosyć szarym i w meloniku, którego rondka opierały się na barkach i odgiętych uszach. Melonik ów brał pan Dziobak na głowę, ilekroć wychodził do ogrodu, choćby nie było ani chłodu ani słońca. Poprostu przez poczucie przyzwoitości. Od pierwszego spojrzenia widać w nim było coś lepszego.

Pan Dziobak pełen był prostoty i skromności wrodzonej. Zgadzał się bardzo ze wszystkiem, co mówiła jego żona, która się do niego przywiązała, chociaż był trochę młodszy od niej. Miał bardzo dziwne oczy, duże i niby to niebieskie, ale właściwie prawie białe. I to podobno z tego, że robił przy ogniu w tej swojej fabryce. Sam mówił, że pewno niedługo już oślepnie od tego ognia. A wtedy toby już zamieszkał przy żonie na wsi na stałe.

Dla nas był bardzo uprzejmy. Nawet na żądanie pani Dziobakowej opowiedział nam pyszną anegdotkę o żydzie, który przyszedł do dziedzica i mówiąc o interesie, jednocześnie drapał się plecami o drzwi. Pan Dziobak owo drapanie naśladował wiernie aż do złudzenia i mówił „panie dżedżyc" tak dowcipnie, że sam powstrzymywał się od śmiechu tylko dlatego, żeby nie popsuć wrażenia. Zato pani Dziobakowa, chociaż znała już była przedtem treść opowieści i nic już nie było tu dla niej nieoczekiwane, uśmiała się, jak nigdy. Właściwie i pan Dziobak śmiał się także, ale dopiero gdy już wszystko opowiedział. I śmiał się tak serdecznie, że z jego białych, wypalonych ogniem oczów, łzy lały się poprostu ciurkiem.

Z biegiem czasu stosunki stały się mniej etykietalne i prawie co niedzielę pan Dziobak opowiadał nam swą anegdotę. Pamiętałyśmy ją dobrze i śmiałyśmy się głównie tylko przez uprzejmość. Bo widok pana Dziobaka w tym surducie i meloniku na odgiętych uszach, drapiącego się plecami o futrynę swej chałupki i ocierającego łzy z policzków, robił doprawdy jakieś niebardzo wesołe wrażenie.

Z dalszych wizyt i rozmów poznałyśmy wkrótce i brudy rodzinne. Cóż robić. Niema domu, w którym nie przydałoby się czegoś ukryć.

Z początku pani Dziobakowa opowiadała tylko jak się chowały córki, pokazywała ich fotografie wizytowe i nawet jedną gabinetową. Córki pomagały jej w restauracyi, ale roznosiły tylko pieczyste, nigdy zupę.—No, rozumie się—powiedziałyśmy, aby nie myślała, że jesteśmy naiwne. Bo choć wiedziałyśmy, że żadna praca nie hańbi, to przecież rozumiałyśmy, że jest chyba jakaś różnica między roznoszeniem pieczystego i roznoszeniem zupy.

Córki więc roznosiły pieczyste, później wychodziły zamąż, miały dzieci, umierały na suchoty. Zdarzało się, że zięciowie nie mieli za co ich pochować. I tak jeden rok wypadły dwa wesela i trzy pogrzeby. To zjadło restauracyę. Synowie umierali też.— No, i został wreszcie tylko jeden, ten, który gra na skrzypcach. Dziewiąte i ostatnie dziecko.

Nie śmiałyśmy zapytać, czemu nie przyjeżdża. Ale pani Dziobakowa wyznała sama w chwili słabości: nie przyjeżdża, bo jest zły syn, bo wstydzi się rodziców. Dlatego, że ojciec jest rzemieślnikiem. A czy każdy może być restauratorem?

Wstydzi się. Już drugi rok, jak nie był ani razu. Nie żałowali na jego edukacyę, był w szkole, teraz jest urzędnikiem na posadzie. Zarabia ładnie, ma blizko trzydzieści rubli miesięcznie, więc naturalnie, cóż mu do rodziców.

A przecież przyjechał jednak. Przyjechał — pamiętamy to doskonale. Ale nie napełnił radością domu rodziców. Przyjechał dlatego, że był wieczorem z bardzo porządną panienką w Alejach, siedzieli długo na ławce i dostał kaszlu. Cały miesiąc tak ciągle kaszlał, więc doktór kazał mu, żeby pojechał na wieś. Wtedy dopiero przypomniał sobie rodziców.

Przyjechał w jedną sobotę ze starszym panem Dziobakiem. Ale w ogrodzie nie robił, w niedzielę na spacer nie chodził, nawet ani razu nie zagrał na skrzypcach, choć je przywiózł ze sobą. Leżał w izbie na dużem drewnianem łóżku matki, leżał i był chory. Nic mu nie było lepiej, tylko ciągle gorzej. Raz nawet przywieźli doktora ze Starej Wsi. Przywieźli też i księdza. — Aż raz Władysław przychodzi z wiadomością, że młody Dziobak umarł.

Ach, to było okropne. Nie mogłyśmy się uspokoić, chociaż nawet nie znałyśmy go wcale. To pierwszy raz w obręb tego lasu weszła śmierć.

W taki słoneczny dzień patrzyłyśmy zdaleka, z ponad sosen, na mały domek Dziobaków w dole. Ten dach z czarnej tektury, malowany smołą, krył sobą straszną tajemnicę. Tam leżał umarły człowiek.

Pan Dziobak poszedł do parafii i w ogródku było widać tylko panią Dziobakową. Odkręcała kury, uwiązane za nogi do kołków. Później wyrywała zielsko z truskawek. Czasami wchodziła też do wnętrza tego domu i przez chwilę jej nie było. Patrzyłyśmy na to, pełne grozy.

Pani Dziobakowa często opowiadała nam potem o chwilach ostatnich syna. „Umierasz, synku, mówię, umierasz, jak tamci pomarli. A on nic. Umierasz, powiadam, i jak nie krzyknę, jak go nie chwycę!... A on już tylko tyle, że się trochę skrzywił i zaraz mu oczy w słup stanęły". — Wiele razy słyszałyśmy te proste i wzruszające słowa.

D. c. n.

Z. MORAWSKA.

A drzewa szumiały...

Obrazek z r. 1863.

(CIĄG DALSZY).

Szanowny komendant spełniając ściśle swój obowiązek, obszedł tak całe miasto. Nieszczęśliwie mu się jednak wiodło; do których drzwi zapukał, nigdzie, nikogo do poboru nie znalazł. Wracał więc mocno nachmurzony. I oto, gdy noc już pod świtem oznajmiała, że dzień leniwy wkrótce wstawać zacznie, natknął się na głupiego Jurka, żebraka, który wymachując kosturem wlókł się, jak zwykle pod kościół.

— Bieri jewo! zawołał na straż swą przyboczną.

Jeden ze straży śmielszej natury, począł tłomaczyć, że to znany żebrak, głupi i wcale nie w wieku popisowym,—nic to wszakże niepomogło i biedaka uśmiechającego się głupkowato i nieopierającego

się wcale, powleczono do obszernej, ale zimnej, przeznaczonej dla rekrutów izby.

— Jak tu zdać raport? myślał sobie zacny kapitan... ale ja ich wytropię, z pewnością wytropię!... nie byłbym Ilią Worowem... wy-tro-pię. I układając sobie, jak to on będzie twardy w przyjmowaniu okupu, zasnął snem sprawiedliwego.

Toż samo myślał i doktór wojskowy, i wszyscy dopomagający w tej nadzwyczajnej brance.

I rzeczywiście przez cały tydzień każdej nocy *tropili*.

Tropili w mieście i wsiach okolicznych, udało im się nawet złowić kilku popisowych, nie udało się tylko napełnić pustych kieszeni, co ich w jak najgorszy humor i jak największą zawziętość wprawiało.

Izba, gdzie siedział głupi Jurek, powoli się napełniała nowymi gośćmi.

Jurkowi zaś wcale nieźle się działo.

Zakopał się w słomę, śpiewał pieśń po pieśni, a gdy mu głód dokuczył, wyglądał przez zakratowane, ale ze stłuczoną szybą okienko. Każdy też przechodzień, widząc znanego całemu miastu żebraka, uśmiechał się z politowaniem i wkładał kawałek chleba, przy którem częstokroć i kawałek wędzonki się znajdował.

Że zaś po zaspokojeniu głodu, wyspaniu się należytem i wyśpiewaniu wszystkich pieśni nudziło się biedakowi, oskrobywał ścianę z grubo nalepionego wapna.

W miasteczku tymczasem ruch się zmniejszał.

Po pierwszej nocy nieudanej branki, mniejszył się nietylko na ulicy, lecz przy warsztatach, w sklepach za *ladą* i wogóle wszelkich zajęciach, gdzie młodzież męska pracowała. Zastępowały ich kobiety.

Kobiety milczące, zadumane, z jakąś zmarszczką na czole pełnego postanowienia.

W nocy zaś słychać było miarowy pochód wojska, który rozmiękłe błoto nieco tłumiło.

Nie mogło jednak stłumić przed czujnem uchem mieszkańców, każdy szmer z nadzwyczajną skwapliwością łowiących.

III.

Miasteczko, o którem mowa prócz wielu braków, cierpiało na wielki brak wody.

Jedna jedyna studnia, stojąca na rynku nieopodal kościoła, obfitowała tylko w wodę zdatną do picia.

Do tej studni zjeżdżali się i schodzili wszyscy dla nabrania ożywczego nektaru.

Przyjeżdżali naturalnie i kozacy.

W tydzień jakoś po rozpoczęciu branki,—przyjechali, jak zwykle, dwoma wozami, na których rozpierały się wielkie beczki. Jednocześnie zatrzymał się wóz z sąsiedniej gorzelni, z okseftami spirytusu.

Woźnica i dozorujący przewozu, spotykając się często z kozakami, w dobrych byli z nimi stosunkach. Gawędzili, a nawet czasem przywieźli jedną i drugą butelczynę, która za machorkę z niewielką dopłatą przechodziła do rąk kozackich.

Owego dnia wszakże na pytanie o przysmak odpowiedzieli:

— Gdzie zaś,—pilnowali bestye...

I zaraz dozorca dodał:

— Dali jeno te dwa oksefty przykryte derką i kazali pilnować, jak oka w głowie... tam jest jakaś *extra*...

Lecz dozorujący przewozu miał sprawunek, a woźnica zupełnie kozakom nieznajomy, chciał również coś załatwić, rzekli więc:

— Popilnujcież, bracia, żeby się kto do woza nie przymknął!...

— Da, da!—odpowiedzieli kozacy, zerkając na siebie.

Że zaś, jak zwykle w lutym dzień wcześnie kładł się na spoczynek, przytem mgła się wznosiła, a odwożący spirytus jakoś dłużej się zabawili,—nie wiedzieć, jak się to stało, że dwa oksefty ze spirytusem znalazły się na wozach kozackich, a dwie beczki z wodą ukrywały się pod derką na wozie, przeznaczonym do spirytusu.

Dozorujący i woźnica podziękowawszy za dozór pojechali w swoją stronę, a kozacy pośpiewując spiesznie wracali do koszar.

Tegoż dnia kapitan kozaków Spirydion Biescow, korzystając, że jego małżonka wyjechała na dłuższą przejażdżkę z porucznikiem od huzarów Stiepanem Stiepanowiczem, postanowił skorzystać z nieobecności ukochanej małżonki, i nieco się zabawić.

Poszedł więc do Abrahama, najznakomitszego winiarza w miasteczku i rzekł:

— Mój Abrahamku, tak mnie jakoś mdłości zbierają, że chyba mi dasz szklaneczkę wina.

— Czemu nie,—zaraz przyniosę.

I usłużny kupiec własnoręcznie postawił butelczynę i kieliszek.

Biescow zasiadł przy stoliku, nalał kieliszek i poglądając pod światło duszkiem wychylił.

Wtem wszedł pułkownik piechoty, major i kilku starszych oficerów.

Biescow sam pić nie lubił, zaprosił więc przybyłych.

Ci chętnie zasiedli, mówiąc:

— Każdy z nas butelkę,—zabawimy się!

No i bawili się do późnego wieczora.

Butelka za butelką się zjawiała, wszyscy byli w doskonałych humorach, podśpiewywali sobie, aż Biescow nagle rzekł:

— Co mamy u żyda siedzieć, — każę przynieść antałek do domu, zabawimy się doskonale.

— A wasza *supruga?* zapytali wszyscy, jak jeden mąż.

Wiedzieli bowiem, że najukochańsza małżonka Biescowa nie lubiła tej *zabawy*.

Ona pojechała w gości ze Stiepanem Stiepanowiczem.

A jak wszyscy razem zapytali, tak wszyscy teraz rozśmieli się na całe gardło.

Poczęli też wskazywać palcami na Biescowa, który z dobrą miną zwrócił się do stojącego na uboczu winiarza i mówił:

— Abrahamku, proszę przysłać mi półantałek tego samego, cośmy pili!

— Do usług jewo wysokobłagorodii!— odrzekł żyd z drwiącym ukłonem.

— Tolko siej czas,—zapłacę potem! — rzucił kapitan wychodząc.

Wszyscy doskonale cięci, wyszli z winiarni, śmiejąc się i żartując.

Któryś zaczął podśpiewywać, a kapitan zataczając się, chciał tańczyć kozaczka, lecz potknął się i byłby niechybnie runął w błoto, gdyby go ktoś z towarzyszy nie podtrzymał.

Za wejściem do domu, kapitan spotkał się z groźnem spojrzeniem swej połowicy, która nadspodziewanie wcześnie wróciła.

Zawołała też zaraz:—Siedzisz Bóg wie gdzie, a tu dokoła bunt!

— Jaki bunt, *kuda?* — pytał małżonek z głupowatym uśmiechem.

— W lasach pełno buntowników, nie można przejechać, wtrącił Stiepan Stiepanowicz, który jako światowy i elegancki młodzieniec odprowadził kapitanową w domowe progi.

— Co wam bunt,—pośpiewają, pokrzyczą i pójdą w *plen*... mówił bełkoczącym głosem kapitan.

I zaraz się zwrócił do żony:

— Lubeńka, mamy gości! I chciał ją w pół objęć.

Lecz Lubeńka usunęła się zręcznie i rzuciła z pogardą:

— Ty pijanico!

Goście stropili się nieco, nie wiedzieli, co z sobą zrobić, wtaczający się wszakże antałek z winem skłonił ich do pozostania.

(D. c. n.).

IZA BRONIKOWSKA.

Sâdhâna

(Urzeczywistnienie życia).

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

Przeraził się ojciec, co nigdy królem nie był i matka, która dawno królewną być przestała. Po zamku szła wieść żałobna. Królewna była chora. Liczko jej pobladło i zjaśniało, a ręce trzymała złożone błagalnie na piersiach: pragnęła samotności.

Przywieziono na zamek kapelę — nie słuchała jej; przywieziono rój królewien barwnych i lekkich, jak płatki przedziwnych kwiatów, wiatru oddechem porwane— unikała ich. Sprowadzono jej stroje wspaniałe: szaty najcieńsze, jak mgły o świtaniu cudne i wstęgi i klejnoty—patrzeć nie chciała na nie. I szła w ciszę, pracować nad swą duszą.

Rozniosła się po zamku żałobna wieść, że królewna bardzo chora — że z twarzy jej bije tajemnicze światło.

Pewnego razu przybył na zamek pan młody, co królewiczem być chciał; przybył, bo mu się podobał nad miarę zamek i włości ojca królewny, bo słyszał coś niecoś o jej przejasnych oczach.

Przybył i zaczął czarować.

Jest czar, co upaja —.

Jest czar, co zmienia duszę w melodyę —.

Jest czar woni —.

I czar słów miękkich, nieuchwytnych i nieodtrąconych, jak puch gołębi.

I czar słów zbrojnych!
Jest czar niepojęty — — —.
I jest czar niewytłumaczony — — —.
Bo takie jest życie.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Pan młody spojrzał na królewnę, co miała oczy zasłuchane w własną głębię i porwały się misterne, wzorzyste bisiory myśli. Pan młody skinął dumnie i jak gwiazda w otchłań sfrunęła ku niemu dusza królewny.

Są dusze, jak lilie, zorze świetlne...
I jest czar niewytłumaczony.

Rzekł pan młody: Oto cię pożądam wraz z bogactwy twemi.

A potem, w pas się skłonił ojcu, co nigdy królem nie był i matce, co przestała być dawno królewną.

— I poszła za panem młodym królewna moja—królewna złotowłosa; poszła i nie myślała już nigdy o swej duszy. Poszła, aby przestać być królewną...

— Jest czar niepojęty.
— Są potem dusze, smutne, jak łzy.
Bo takie jest życie — — —.
I ta będzie przyszłość twoja, Aniu.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Pierwsza młoda miłość budzi się w sercu nagle i niejasno — jak dalekie, łzawe wspomnienie nieznanych, dobrych słów— lub jakiegoś dziwnego wyrazu oczu—zgięcia ust— podpatrzonych — słyszanych nie wiadomo kiedy—i gdzie—może w marzeniach sennych. Pierwsza młoda miłość przychodzi zwykle cichutko i zwiewnie nocą; rodzi z przeczucia uścisków i pocałunków, doznanych dziwnie wyraźnie i mocno we śnie. Nosi się potym owo mgliste marzenie senne w sobie, w bolesnym, zachwyconym skurczu serca—jako pamiątkę najdroższą, marę dziwną i aż do męki słodką.—Wspomina się wciąż, ze łzawym wzruszonym przyśmiechem, każde dalekie senne słowo—każdy przyćmiony, dziwny ruch.

W snach dzieją się czasem takie dziwne rzeczy... I oto rodzi się pierwsza miłość.

Zaprawdę—nie jest ona jeszcze miłością. Jest wielkiem i świętem kochaniem samej siebie, pięknej i ubóstwianej w czyichś chmurnych oczach.

Jest niespokojnem drgnieniem płatków wilgotnej, purpurowej róży przed wschodem słońca.

Jest czarem jedynych w życiu poświęceń, i jedynych zapomnień.

Misterną koronką najcudniejszych, najgłębszych niedomówień...

Jest stalaktytem, bladym i smukłym, w którym odbijają się przedziwnie i kusząco wszystkie barwy duszy.

Jest wszystkiem! Ale to jeszcze nie miłość.

Ania kocha Dicka. Imię jego, wspomniane mimochodem, przez osoby obce, przeszywa ją dreszczem, gdyż dźwięki te nabrały jakby przedziwnej, dla niej tylko wiadomej barwy—zapachu i smaku. Słońce koncentruje się w długich, ukośnych złotych promieniach w koło chwili, w której go ma ujrzeć. Szczęście zakochane i śliczne błądzi z nią wieczorami po mokrych trawnikach ogródka, trąca fioletowe,

rozmarzone irysy i szepce o tym, co ma nastąpić...

Mimo to wszystko, Ani jest chwilami tak, jakby zgubiła przedmiot pamiątkowy kosztowny, czy też lubiany bardzo, noszony zawsze na sobie, za którym teraz ogląda się się czasami bezwiednie. Tylko nie zdaje sobie jeszcze sprawy, czego właściwie jej brak.

Mimo, że najzupełniej zaabsorbowana przeżywaniem własnej miłości do ładnego, dobrze znanego chłopca, przekonywa się niestety prędko, że Dick zmienił się znacznie w czasie wakacyi. Po powrocie do Oxfordu, nie będąc jeszcze *au courant* zmian, które w niej, w stosunku do niego, zaszły—Dick jest nad wyraz przyjacielski i uprzejmy dla Ani. Po dawnemu przekomarza się z nią wesoło, darząc pełnemi niezgrabnego wdzięku pieszczotami—tylko w razie sprzeczki, nie odchodzi już teraz z twarzą zmartwionego dzieciaka. Bardzo delikatnie, z charakterystycznemi iskrami śmiechu w kącikach oczu, stawia swe dawniej chwiejne zdanie, na piedestale nienaruszalnej prawdy—i broni go niby to niedbale i od niechcenia.

— On poprostu kpi ze mnie! — złości się Ania.

Próbuje różnych „niezawodnych" sposobów: jest naprzemian zbyt czuła, to znowu aż do łez niegrzeczna i opryskliwa. Gwałtownie, z całych sił i przekory stara się go doprowadzić do dawnych wyznań. Wszystko rozbija się, jak o nieusuwalną, niezwalczoną przeszkodę, o wesoły, serdeczny i przyjacielski śmiech Dicka. Widują się tak często i Ania, tak jak dawniej, dostaje wiechcie kwiatów i „nieprzyzwoite" pudła cukierków; w „puncie", na rzece, Dick, jak dawniej, ukradkiem pieści i całuje jej ręce.

D. c. n.

Kronika działalności kobiecej.

Przyznanie prawa głosu kobietom.

Waszyngton, w styczniu. Izba reprezentantów 272 głosami przeciwko 136 przyjęła projekt praw, dotyczący wprowadzenia prawa głosu dla kobiet. (WAT).

O prawa wyborcze dla kobiet.

Berlin. (WAT). Po otwarciu dzisiejszego posiedzenia sejmu pruskiego, prezydent hr. Schwerin, poświęcił kilka słów gorącego wspomnienia zmarłemu b. prezydentowi sejmu v. Kreecherowi.

Na pierwszem miejscu porządku dziennego znajduje się wniosek partyi ludowej, żądający dopuszczenia kobiet do deputacyi zarządu miast oraz do zarządów fundacyi.

Pos. Westarp (kons.). Część moich przyjaciół zgadza się z wnioskiem. Ale w jaknajostrzejszy sposób odrzucamy ewentualne dalsze konsekwencye tego wniosku, t.j. mianowicie, aby kobiety miały otrzymać również polityczne prawo wyborcze. Powinny one poświęcić się w dziedzinie dobroczynności i t. p., nie zaś w życiu publicznem. Postawa kobiet podczas wojny obecnej jest wyższą ponad wszelkie pochwały. Jednakże na stałe nie powinny one wciskać się do męskich zawodów.

Jeden z posłów centrum wypowiedział się w tym sensie, że działalność kobiet w zawodach, szkodliwie wpływających na ich zdrowie, powinna być po wojnie możliwie najradykalniej usunięta. Po dalszej dyskusyi, w toku której mówcy socyaldemokratyczni przemawiali za przyznaniem kobietom praw wyborczych aktywnych i pasywnych, odroczył się sejm do środy godz. 1-ej w południe.

Na porządku dziennym będzie budżet oraz projekt prawa, dotyczący ujednostajnienia administracyi.

Wiec kobiet polskich we Włocławku.

D. 12 z. m. przy udziale kilkuset kobiet odbył się, pod przewodnictwem p. Jadwigi Biernackiej, wiec w sprawie politycznego równouprawnienia kobiet. Zasadniczy referat wygłosiła przybyła z Warszawy, znana działaczka i rzeczniczka sprawy kobiecej, dr. med. J. Budzińska Tylicka. Po ożywionej dyskusyi jednomyślnie zadecydowano, że trzeba zaraz przystąpić do utworzenia organizacyi na wzór powstającego w Warszawie Komitetu centralnego politycznego równouprawnienia kobiet. W zakończenin przyjęto złożoną przez p. Szczawińską następującą rezolucyę:

1) Zebrane na wiecu kobiety polskie żądają przyznania im praw wyboru i wybieralności do samorządu miejskiego i wiejskiego.

2) Niezbędne jest, aby w tworzącem się państwie polskiem jaknajprędzej zwołany był sejm na zasadzie 5-przymiotnikowego głosowania bez różnicy płci.

Prawa majątkowe kobiet.

W komisyi praw kobiet przy biurze pracy społecznej mec. Antoni Bogucki referował o stosunkach majątkowych między małżonkami podług kodeksu cywilnego Królestwa. W dyskusyi pod przewodnictwem p. H. Weychert brały udział panie: F. Karszo-Siedlewska, H. Zaborowska i L. Kotarbińska. Mec. C. Ponikowski uzasadniał z punktu prawnego i życiowego istnienie niepodzielności majątku między małżonkami i intercyz przedślubnych, poczem omawiano możliwość zmiany naszego kodeksu w duchu podzielności majątku małżeńskiego.

Związek Pracy Narodowej Kobiet Polskich powstał niedawno w Galicyi, na czele którego stoją pnnie: Adamowa Tarnowska, Henryka Starzewska, Marya Gierżabkowa (Stanisławów), Emilia Jędrzejowiczowa (Lwów), Marya Kuszowa (Tarnów). Związek, stroniący od polityki partyjnej, wypisał na swym sztandarze program ogólnonarodowy i nawołuje do pracy społecznej na szerokim terenie życia realnego.

Kooperatywa domu akademiczek.

Z inicyatywy grona studentek uniwersytetu, organizuje się przy naszej wszechnicy zrzeszenie współdzielcze domu dla akademiczek. Komisya organizacyjna, korzystając z chętnego poparcia szerszego społeczeństwa i przedewszystkiem Rady Gł. O., poczyniła już początkowe kroki. Wynajęto już 8-pokojowy lokal przy ul. Żórawiej № 15, w którym za niewielką stosunkowo opłatą od 25 do 60 mk. miesięcznie znalazło pomieszcze-

nie, ze światłem, opałem i usługą, kilkanaście studentek. Przy „domu“ istnieje specyalny pokój dla studentek świeżo przybyłych z prowincyi, a w najbliższym czasie ma przy nim powstać pralnia i szwalnia. Kooperatywa znajduje się pod protektoratem R. G. O. i korzysta z materyalnego zasiłku tej instytucyi.

Zapolska w Wiedniu. Po niezwykłych sukcesach, jakie odniosły sztuki Zapolskiej „Tamten“ (Warschauer Zitadelle) i „Carewicz“, „przyszła kolej“ na „Sybir“, wystawiony w „Volksbühne“. Niezwykłe powodzenie, z jakiem spotykają się sztuki naszej utalentowanej powieściopisarki i autorki dramatycznej, określa prasa wiedeńska jako „eine wahre Zapolska-Mode“, podnosząc jednocześnie w sztukach tych niezwykłe poczucie sceny i opanowanie techniki dramatycznej, co u kobiet poczytane może być za rzecz wyjątkową („ein selten Ding bei Frauen“).

Kursy wstępne dla seminaryów nauczycielskich. Nagły rozwój szkolnictwa ludowego wywołuje w rozmaitych okolicach naszego kraju zupełnie naturalne i zdrowe dążenie do zakładania jaknajwiększej liczby seminaryów nauczycielskich. Zgłoszeń kandydatek, a zwłaszcza kandydatów do seminaryów, jest stosunkowo bardzo niewiele, mimo małych wymagań, co tłómaczy się niskim poziomem szkół ludowych, które dostarczają młodzieży do seminaryów.

Ażeby zaradzić tej ważnej i pilnej potrzebie, ministerstwo wyznań religijnych i oświecenia publicznego organizuje kursy wstępne do seminaryów, których zadaniem będzie przygotowywać na pierwsze kursy seminaryów młodzież płci obojga. Kursy wstępne na razie będą uruchomione w Pułtusku i Skierniewicach. Kurs jest dwuletni. Na kurs I przyjmowani są kandydaci i kandydatki z wykształceniem 4-oddziałowej, na kurs II z 5-cio i 6-oddziałowej szkoły ludowej. Wiek wstępujących od 13 do 16 lat. Nauka na kursach bezpłatna; w sprawie utrzymania słuchaczów będą poczynione ułatwienia. Podania o przyjęcie składać na ręce odnośnego inspektora szkolnego okręgowego.

TREŚĆ NUMERU:

Polecamy miłosierdziu Szanownych Czytelniczek, biedną, chorą staruszkę, bez środków do życia. Ofiary przyjmuje adm. naszego pisma pod literami M. Ż.

OGŁOSZENIA.

Redaktorka i Wydawczyni: **Zofia Seidlerowa.** Druk J. Świętoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34.

Za pozwoleniem cenzury niemieckiej.

Z KĄCIKA GOSPODYNI.

Wojna trwa. Każde z państw wojujących w skrytości ducha swego nie ma gorętszego życzenia nad to, aby wojna jaknajprędzej się skończyła i upragniony pokój wreszcie nad światem zapanował.

A mimo to pokój jakoś się nie zjawia. Od czasu do czasu to tu, to tam zajaśnieje nikłe światełko nadziei, zapachnie woń różdżki oliwnej, ale rychło gromy armat nadzieję przyduszą, a dym prochu rozpędzi rozkoszną woń różdżki.

Jakoś nie pomagają wywieszone wysoko ponad światowem polem walki sztandary z górnobrzmiącemi hasłami: „ochrona małych narodów", „swoboda w samookreśleniu się narodów" i t. p.

Może skromny, cichutki głos z kącika gospodarskiego przemówi lepiej do rozgniewanych tłumów. Czasem drogą przez żołądek, chociaż dłuższą, trafi się prędzej do mózgu i serca czyli do sumienia ludzkiego.

W tym celu uciekam się do porównania, które podobno ma najwyższe zalety pedagogiczne, bo uczy bez morałów i słów nudnych.

Oto X. Kitowicz w swym opisie *Obyczajów i Zwyczajów za panowania Augusta III*, opowiada nam „O stołach i bankietach pańskich" i „O trunkach i pijatykach".

A więc: Panowie nie lubili zasiadać sami do stołu, chętnie zato widzieli, gdy zjeżdżali się goście: przyjaciele, sąsiedzi bliżsi i dalsi i obywatele znakomici; bo wtedy była sposobność do bogatego nakrycia stołu biesiadnego misami, wazami i serwisami srebrnemi i cynowemi i sutego poczęstunku.

Nie bez podziwu i pewnej dozy zazdrości przyjdzie nam zapoznać się bliżej z istotą takiego poczęstunku.

A więc zaczynamy. Naturalnie, na początek rosół i barszcz.

Pierwsze danie składało się z najrozmaitszych mięsiw gotowanych, które się zwały po polsku potrawką, a po francusku fricassée, ragout. Składały się na nie: gęś gotowana ze śmietaną, gęś czarna, flaki, cielęcina na szaro, cielęcina na biało, baranina z czosnkiem, kury, kurczęta na rumiano, indyki, bażanty, kapłony, prosięta, nogi wołowe w galarecie; dalej jeszcze: kiełbasy, kiszki z ryżem i wątroby. Również zające, sarny, jelenie, daniele, dziki, przepiórki, kuropatwy, kaczki dzikie, cietrzewie, ptaszki drobne, pardwy; a także sztuka mięsa, bigos z kapustą, kiełbasą i słoniną, bigos z kapusty kwaszonej t. z. hultajski.

A wszystkie owe potrawki zaprawiano smakami, do których należały migdały, rodzynki kwiat, gwoździki, gałka, imbier, pieprz, szafran, pistacye, pinelle, trufle, miód, cukier, ryż, cytryna — ale tej na początku panowania Augusta III mało, bo była zbyt droga (nieprzymierzając jak dzisiaj), więc zastępowano cytryny octami (dziś nawet i ocet jest drogi).

Na drugie danie stawiano na stół mięsiwa i ptactwo: te same co w potrawce, z tą tylko różnicą, że pieczone, ubrane ciastem francuskiem lub tortami.

W potrawach tych, powiada X. Kitowicz, przestrzegano przedewszystkiem wielkości. To też niektóre misy były takich rozmiarów, że dwóch hajduków wnosiło je do stołu, bo jedenby nie uniósł. Te piramidy mięsne tak były ułożone, że na spodzie leżały sztuki największe, a u szczytu najmniejsze; a więc: „wielkie pieczenie wołowe, na nich ćwiartki cielęce, dalej baranina, potem indyki, gęsi, kapłony, kurczęta, kuropatwy, bekasy i coraz mniejsze ptactwo".

„Trzecie danie składało się z owoców ogrodowych i cukrów rozmaitych na talerzach i półmiskach, między które stawiano z cukru lodowatego misternie zrobione baszty, cyfry, herby, domy dragantami zwane, które biesiadnicy, łamiąc, burzyli".

Nie bez interesu będzie dodać jeszcze jak potrawy były przyrządzane, by mile dogodzić zmysłowi smaku.

Broń Boże podlać mięsiwo wodą. Potrawy zalewano sokiem, wygotowanym z rozmaitego mięsiwa, który po kucharsku zwał się Alabrys. Robiono go tak: „W wielki kocioł, w każdej kuchni będący, nakładł kucharz całą goleń wołową, z mięsa nieco ogołoconą, w sztuki porąbaną, a jeśli miał być wielki obiad, to przyłożył pieczeń jedną i drugą, ćwiartkę cielęciny, ćwiartkę baraniny, kapłona jednego i drugiego, słoniny niesłonej karwasz, pietruszki, selerów, porów, marchwi; to wszystko wrzało w owym kotle", i „tym sokiem dopiero zalewali potrawy w osobych rondlach gotowane".

Łososia świeżego gotowano w winie burgundzkiem.

Co się tyczy trunków, to naturalnie musiały one odpowiadać jadłu i pod względem jakości i ilości, aby nie być spostponowanemi.

Pito wino kielichami, od kwaterkowego do kwartowego. Kielichami spełniano zdrowie wszystkich obecnych gości, począwszy od najdystyngowańszych, stopniowo do ostatniego najskromniejszego tytułem i stanowiskiem. Każdy zaś gość w rewanż wnosił zdrowie gospodarza. Każdemu piciu zdrowia akompaniowano wstawaniem, więc „w tem wstawaniu i siadaniu tyle było utrudzenia, ze drugi osłabł od niego wprzód jeszcze nim się upił".

Tempora mutantur! O ironjo losu! Jakże tragikomicznie przedstawia się dzisiejszy stół biesiadny.

Gościnność staropolska schowała się zawstydzona aż za piec. Ale że piec lichą pospółką opalany pozostał zimny, więc niema obawy by się zbytnio rozgrzała i zechciała zapraszać. Bo i do czegóż?

Gospodarz rad, że sam ze swą rodziną do stołu zasiądzie. Kiszki grają marsza z głodu na nutę:

Indyk z sosem,
Barszcz z bigosem,
Jedli dawniej Pany;
Dziś erzace, surogaty
Jedzą wszystkie stany.

Dzieciaki zziębnięte garną się do gorącej zupy. Go-



Szkic 3. Szkic 2. Szkic 1. Szkic 1a.



№ 1. **Kostyum spacerowy i wizytowy, przybrany guzikami.** (Szkic № 1 i 1a). Forma na zam. w admin. Bluszczu.

№ 2. **Suknia formą płaszcza, przybrana maszynowym haftem.** (Szkic 2). Forma i wzór haftu na zam. w adm. Bluszczu.

№ 3. **Suknia wizytowa, oryginalnym, artystycznym krojem.** (Szkic № 3). Forma i wzór haftu na zam. w adm. Bluszczu.

spodyni wprawnem okiem robi przegląd jadła czy starczy, a może nawet da się jeszcze z obiadu coś nie coś na wieczerzę zostawić.

Gdzieżeś, ach gdzieżeś miso, którą dwóch hajduków do stołu wnosiło?

Dziś nawet jednej służącej do obsługi rodziny nie potrzeba: półmisek lekki, więc pani domu z łatwością mu poradzi.

Z łatwością też nadzwyczajną układa menu obiadowe i nie ma kłopotu z dokonaniem wyboru dań. Uproszczenie nadzwyczajne. Mięsa niema, drobiu i ryb niema, tłuszczów i masła brak, mleka mało, wędliny niedostępne, owoce drogie. A nie ma też gospodyni ani zdrowia ani czasu by stać w ogonku za mięsem monopolowem, w którem więcej kości niż mięsa, ani też nie ma pieniędzy na kupno mięsa ukrytego, lub sadła czy masła.

Więc poprostu kartofle i brukiew — kartofle pod najrozmaitszą formą i najrozmaiciej przykrawane w myśl zasady: „Der Mensch muss Abwechslung haben".

Przepraszam, jeszcze nie wszystko, zapomniałam o chlebie i to kartkowym.

Jakie to szczęście, że Marya Konopnicka nie zaznała okropności obecnej wojny, więc mogła napisać piękne wiersze:

„Jak to było, co to było
Zanim w kołacz się zmieniło,
W ten nasz nowy chlebek biały,
Co nim dziatki się łamały".

Dzisiaj ani stary Szymon nie mógłby rzucać w ziemię złotego ziarna, ani wóz z workami nie miałby po co zajeżdżać przed młyn. O ile się w ogóle dziś miele, to na ręcznych młynkach, a prawdę powiedziawszy, niema co mleć. Bo w dzisiejszym chlebie wszystkiego się doszukasz, oprócz żyta i pszenicy. Cóż więc dziwnego, że chleb kartkowy w niczem nie jest podobny do białego kołacza z czasów Konopnickiej.

Tak na codzień. Bywają jednak wyjątki, czy to w święto, czy kiedy gości przyjdzie zaprosić. Wtedy uczta bywa lukullusowa.

Oto próbka takiego *menu*.

Rosół, ryba faszerowana, zrazy po nelsońsku i krem! Bagatela!



№ 4. **Sukienka, przybrana futrem i wyszyciem z sutaszu.** (Szkic 4a i 4b). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Jeżeli podałam sposób przyrządzania potraw za czasów Augusta III, to dla kontrastu muszę też powiedzieć, jak się dzisiejszy obiad sporządza.

Aby szanownych gości długo nie zwodzić i opis uprościć, powiem od razu szczerze, że ani ryby, ani mięsa, ani śmietany w tych potrawach nie znajdzie.

Jak kucharz z czasów saskich nie ścierpiałby do potraw wody, ale wszystko przyrządzał na Alabrysie i winie, —tak dzisiaj przeciwnie wodą bynajmniej się nie gardzi; im jej więcej tem lepiej, bo zwiększa porcye, więc działa w myśl twierdzenia, że kiszka nalana tak dobra, jak nadziana. A woda przecież nie taka kosztowna i jak dotychczas nie naznaczono za przekroczenie jej normy miljona rubli kary albo tysiąca lat więzienia.

Otóż dzisiaj tak się gotuje: Do garnka wody wkrawa się przeróżne jarzyny, nie żałując ich oczywiście; wszystko gotuje się z solą tak długo, póki jarzyny nie zmiękną; na wydaniu wkłada się nieco masła, żeby po wierzchu pływały oka, jak nieprzymierzając od mięsa „z kwiatkiem" i oto rosół á la Julienne gotowy.

Ryba faszerowana:

Uciera się kaszkę mannę z żółtkami, solą, pieprzem i dużą ilością cebuli, dodaje się białek ubitych na pianę i formuje się podłużną bryłę, nakształt ryby. Wkłada się ją w gotujący się smak z jarzynami, dodaje masła, a po pewnym czasie wyjmuje się ją na półmisek, polewa sosem, ubiera jarzynkami i już gotowa wyborna ryba, któraby nie powstydziłaby się pojawić w piątek wieczór na szabasowym stole.

A teraz zrazy à la Nelson.

Sztuka bardzo prosta, bo polega tylko na tem, aby przyrządzić wszystko ściśle podług recepty samego Nelsona, tylko nie użyć do tego mięsa. Pozostają zatem kartofle z solą, pieprzem, cebulą (tej dużo), masłem i śmietaną, a smakują tak dobrze, że mogą śmiało rywalizować z wynalazkiem Nelsona.

Pozostaje jeszcze krem.

Również nic łatwiejszego do wykonania w braku śmietany, a w smaku oszuka najlepszego znawcę: do gotującej się wody wciskamy soku z cytryny, słodzimy ją cukrem do smaku i sypiemy na nią niewiele kaszki manny. Po kilku chwilach z ognia odstawiamy, i gdy przestygnie, bijemy ją trzepaczką tak długo, aż zbieleje i stanie się jednolitą kremową masą.

Obiad gotowy i po brukwi i kartoflach smakuje przewybornie.

Że zaś nie wywołuje pragnienia takiego jak obfite, tłuste i pikantne biesiady czasów przeszłych, więc i wino okazuje się zbędnem. Woda wystarcza w zupełności i to przegotowana; gotuje się ją z tego względu, że jest zdrowsza. Bo chociaż wszystkiego na świecie jest mniej, to jednak wbrew wszelkim przypuszczeniom logicznym jest coraz więcej bakteryi, grzybków i t. p. niepożądanych i nieproszonych osobników.



№ 8. **Suknia domowa w formie bluzy.** Krój fig. 1 — 11 na tablicy krojów do N-ru 5 — 6 — 7.

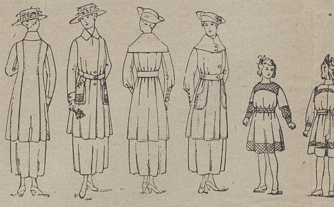
Po opisie powyższym dochodzimy do wniosku, że prawdziwie podziwiać należy zaradność człowieka, która stwierdza nam raz jeszcze w sposób dobitny, iż potrzeba jest naprawdę matką wynalazków.

Takiej przemyślności mogliby nam pozazdrościć kuchmistrze czasów saskich.



№ 6. **Pół długie palto z nastebnowanemi kieszeniami.** (Szkic № 6a i 6b). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

№ 7. **Palto z dużym, modnym kołnierzem.** (Szkic № 7a i 7b). Krój na tabl. do № 5—6—7 fig. 75 — 80



Szk. 6a. Szk. 6b. Szk. 7a. Szk. 7b. Szk. 4a. Szk. 4

Nie sztuka bowiem gotować gdy jest co w garnek włożyć, lecz sztuka wtedy, gdy wszystkiego brak. Śmiem wątpić, czy kucharz ówczesny uwarzyłby obiad ot tak z niczego; przewiduję, iż raczej poniechałby sztuki kulinarnej.

Nie każdy potrafi ukręcić bicz z piasku, nie każdy uwarzy zupę ze sworzenia.

Ale nie na tem koniec przemyślności ludzkiej. Znam przykłady bardziej budujące. Tylko, że nie u nas się one zrodziły. Jak zwykle tak i w tym wypadku daliśmy się wyprzedzić zagranicy i rekord nie nam przypada w udziale.



№ 9. **Bluzka jedwabna, przybrana jasnemi naszywkami i spódnica nowym krojem, zdobna sutaszem.** Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Mam na myśli „erzace“. Są one chlubą blondgłowych, sąsiadujących z nami o miedzę. Innarzecz jak na kuchni tej prosperuje zdrowie ich rodzin. Zdaje się, że tusza i siły mają się odwrotnie proporcyonalnie do pomysłowości gospodyń.

A więc w braku produktów naturalnych bywają „erzace“ mąki, masła, jajek, cukru i t. p. nadzwyczajne surogaty *).

Prócz tego dodaje się do potraw w miarę potrzeby rozwodnionego mleka, plewy żytniej i dużej ilości marmelad takich, jak z dyni, głogu, buraków i t. p.

Bywają potrawy wykwintne bez wykwintnych dodatków, a więc:

Tort kartoflano-dyniowy.

Ciasteczka do kawy bez jaj i masła.

Ciastka wydymane z erzacem, jaj i masła.

Tort z białych buraków ze sztucznem masłem i surogatem jajek.

Kompot z chrzanu i t. p. smakołyki, a na codzień brukiew, brukiew i jeszcze raz brukiew.

Oszczędność jest bardzo zalecana, szczególniej w używaniu tłuszczów i masła. Gdy się więc chce zrobić zbytek i podać do stołu smażone kartofle, to celem oszczędzenia masła poleca się podlać kartofle kawą czarną, by miały pozór rumiany, ale że szkoda kawy prawdziwej, więc można użyć „erzacu“ kawy.



№ 5. **Sukienka prostym krojem dla dziewczynki od 10—12 lat.** (Szkic № 5). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Przykładów dość; mam nadzieję, że przemówiły one do naszego przekonania bardziej niż tego było potrzeba. Myśl ludzka i pomysłowość nie mają granic i mogłyby stwarzać „erzace“, o jakich dzisiaj pojęcia nie mamy, aż do nieskończoności;— ale kruche powłoki cielesne człowieka nie wykazują bynajmniej tej wytrzymałości, co jego duch — i faktu tego nie można sobie lekceważyć.

A nuż z tych wszystkich „erzaców“ wybuchnie rewolucya... w żołądku. Rewolucya to rzecz arcyniemiła, a i niebezpieczna, bo, broń Boże, stanie się zaraźliwą i wywoła epidemię? W tem sęk. Tu sedno moich dowodzeń.

N. Zwejgbaumowa.

*) Wochenbeilage zum Berliner Tageblatt, Haus, Hof, Garten.



Szk. 4a. Szk. 4b. Szk. 5. Szk. 10a. Szk. 10b. Szk. 11a. Szk. 11b.

Rady praktyczne.

Jasne suknie wełniane i półwełniane, czyszczą się w następujący sposób: Do woreczka z białego wełnianego materyału, sypie się sproszkowany gips, i wyciera się mocno, raz koło razu suknie, ułożoną na desce od prasowania. Potem strzepać dokładnie gips, a jeżeli czyści się suknię z grubej tkaniny, trzeba do czyszczenia myć.

Pranie jedwabnych materyi. Ćwierć litra spirytusu, trzysta gramów szarego mydła i sto gramów miodu, zmieszać razem. Rozłożyć materyę na desce i flanelą, zmaczaną w tym płynie, nacierać ją starannie, raz koło razu. Potem pierze się w letniej wodzie i zanurza w zimnej. Po wypłukaniu i wyciśnięciu, przeciąga się materyę przez wodę, zmieszaną pół na pół ze spirytusem i wyżyma się w wyżymaczce. Potem kładzie się w czyste płótno, zawija i prasuje z lewej strony, wzdłuż tkaniny, przez płótno.

Wzory Ubiorów i Robót do № 5.

№ 1. **Kostyum spacerowy i wizytowy, przybrany guzikami.** (Szkic № 1 i 1a). Forma na zamówienie w administracyi Bluszczu.

Jasne, szare futro szynszyli ślicznie dopełnia kostyum z sukna w gołębim, szarym tonie. Futro z wiosną zastąpić można odpowiednią materyą lub aksamitem. Paltocik z długą baskiną, przytrzymany w stanie wązkim paskiem z materyału, ma z boku długie nacięcia w kształcie zaszewek, z jednej strony naszyte szeregiem guziczków, z drugiej imitacyą dziurek z materyału. W nacięciach tych wszyte są kieszenie. Paltocik na moltonie, czy watelinie i jedwabnej podszewce. Spódnica 2 metry szeroka w dole, przyszyta do gorsecika 6 ctm. wysokiego.

Potrzeba: $4^1/_2$ mtr. materyału podw. szerok., $4^1/_2$ mtr. podszewki jedwabn. 50 ctm. szer., 3 tuziny guzików.

№ 2. **Suknia formą płaszcza, przybrana maszynowym haftem.** (Szkic № 2). Forma i wzór haftu na zam. w adm. Bluszczu.

Bardzo zręczne ubranie przez nieprzecięte przody i takie jednolite plisy, odpowiednie też dla osoby dobrej tuszy. Krój ten przedłuża stan i zaciera linję bioder. Przody z plecami połączone są zahaftowanym, wyciętym paskiem, który pokrywa połączenie bluzkowych boków z fałdowanemi bokami spódnicy. Zapięcie z przodu od góry do wysokości bioder na guziki, dalej kryte. Na przodach z boku kieszonka. Rękawy przy ręku zmarszczone, zakończone fałdowaną falbaną, przytrzymaną zahaftowaną, kolistą plisą. W dole przodów i pleców wysoki haft. Kołnierz i wyłogi z materyi w kolorze sukni. lub o ton jaśniejsze.

Potrzeba: $4^3/_4$ mtr. materyału podw. szerok., $^3/_4$ mtr. mat. jedwabnej i 13 guzików.



№ 10. **Kostyum z aksamitu, przybrany taśmą.** (Szkic 10a i 10b). Krój fig. 62-71, na tabl. do № 5—6—7.

№ 11. **Okrycie z modnym kołnierzem, przybrane nastebnowanemi plisami** (Szkic 11a i 11b). (Forma na zam. w adm. Bluszczu.)

№ 3. **Suknia wizytowa, oryginalnym, artystycznym krojem.** (Szkic № 3). Forma i wzór haftu na zam. w adm. Bluszczu.

Bardzo oryginalna i dla osoby szczupłej nader wdzięczna suknia z czarnego aksamitu lub welwetu, składa się z gładkiej, nieżbyt szerokiej (2 mtr. w dole) spódnicy i z krótkiego, gładkiego stanika, połączonego ze spódnicą w jedną całość. Z przodu i z tyłu spódnica przy staniku zmarszczona. Przód stanika tworzy z boku zapiętą kamizelkę. Oryginalne są też rękawy. Spodni rękaw zachodzi na wierzchni. Przybranie sukni stanowi haft jedwabiem w kolorach: czarnym i białym. Suknia wykończona jest z małem wycięciem u szyi. Mały, stojący, gronostajowy kołnierz stanowi dopełnienie.

Potrzeba: $3^3/_4$ mtr. materyału podw. szer., 32 guziki.

№ 4. **Sukienka, przybrana futrem i wyszyciem z sutaszu.** (Szkic № 4 i 4a). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Kolor materyału i futra oraz dobranie ich mogą być zupełnie dowolne. Wyszycie sutaszem (lub haft maszynowy) powinno jednak harmonizować z barwą sukienki. Obszycie z futra zdobi oryginalny, na szpicach zakończony chwastami kołnierz, mankietki i na dole sukienki znaczy szeroki obręb. Pasek, ujmujący sukienkę w stanie, może być sporządzony z materyału sukienki lub z wstążki. Jak wskazuje szkic 4a, sukienka może być również sporządzona z dwóch odrębnych materyałów—bez użycia futra i maszynowego haftu.

Potrzeba: $2^1/_2$ metra mat. 110 cent. szer., $3^1/_2$ metra futrzanych plis, $1^1/_2$ cent. szer.

№ 5. **Sukienka prostym krojem dla dziewczynki od 10—12 lat.** (Szkic № 5). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Biały rypsowy lub batystowy kołnierz ożywia sukienkę z cienkiej wełny w kratę. Z przodu sukienka złożona w szeroką kontrafałdę, ozdobioną guzikami, przez przecięcia której przewleczony jest aksamitny pasek, pozornie zapięty na klamerkę. Podobne przewleczenie wykończa z przodu wycięcie szyi. Sukienka z lewej strony pod kontrafałdą zapięta na zatrzaski. Rękawki zakończone mankiecikiem, z patką ozdobioną guzikiem.

Potrzeba: $3^1/_4$ metra mat. 90 cent. szer., 10 cent. aksamitu 90 cent. szer.

№ 6. **Pół długie palto z nastebnowanemi kieszeniami.** (Szkic 6 i 6a). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Pół długie palto z szarej wełny, sporządzone jest do połowy na podszewce. Można je również wykończyć całe na podszewce i na moltonie. Z tyłu bardzo wysoko na szyję wchodzący kołnierz, wykończony jest z przodu z wyłogami. Tył palto ułożony w kontrafałdę, zastebnowauą do stanu. Patka z guzikiem zdobi dół gładkiego rękawa, guziki również zdobią kieszenie, wykończone bogatą stebnówką. Palto, jak wskazują szkice, można również nosić z wysoko zapiętym kołnierzem i z paskiem.

Potrzeba: $2^3/_4$ metra mat. 120 cent. szer.

№ 7. **Palto z dużym, modnym kołnierzem.** (Szkic № 7 i 7a). (Krój fig. 75 — 80 na tabl. do № 5 — 6 — 7).

Zręczne palto z grubej, bronzowej wełny, wykończone jest na podszewce lub bez, przyczem wyłogi wykończone są podwójnie, po krawiecku. Drobne guziki zdobią nastebnowane kieszenie, oraz nacięte, kielichowate mankiety wmarszczonych rękawów. Przód palta i pasek zapięty na większe guziki. Oryginalnie nacięty kołnierz, może być wysoko zapięty.

Potrzeba: 3 mtr. materyi 130 cent. szer.

№ 8. **Suknia domowa w formie bluzy.** Krój fig. 1—11 na tabl. krojów do № 5—6 -7.

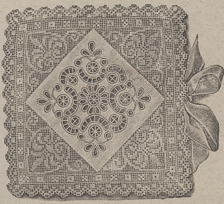
Bardzo zręczną i praktyczną suknię sporządzić można z dwóch materyałów. Wierzchnią suknię w formie bluzy z grubszego materyału, rękawy i boki bluzki z lżejszego, harmonijnie dobranego kolorem i tonem. Boki bluzki przymarszczone, tworzą kieszenie, zapięte na guziki. Rękaw zakończa wysoki, przy ręku odstający mankiet, zapięty na guziczki. Mankiety sporządzić można z materyału wierzchniej sukni, lub z materyi, z której zrobiona jest chusteczka, zastępująca kołnierz, przeciągnięta przez przecięcia na przodzie. Pasek złożony z paru części, przypięty do przodów na guziki, związany z przodu na wązkie paski z materyału.

№ 9. **Bluzka jedwabna, przybrana jasnemi naszywkami i spódnica nowym krojem, zdobna sutaszem.** Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.



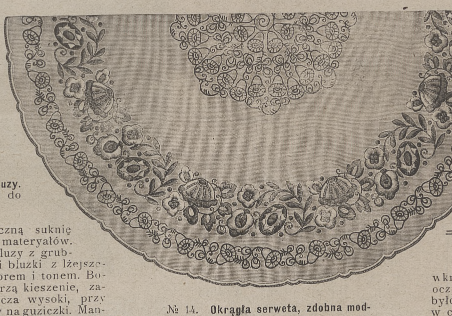
№ 12. **Poduszka, przybrana modnym, płaskim, kolorowym t. zw. „stylowym“ haftem.** (Wzór na zam. w admin. Bluszczu).

Przybranie zręcznej bluzki z ciemnej, jedwabnej materyi, stanowi naszycie z białej jedwabnej plecionki, które pokrywa duży, czworokątny kołnierz i mankiety. Bluzka z przodu zapięta na białe, okrągłe guziki i dziurki, wykończone z wyłogami. Przód i tył spódnicy, sporządzonej z wełny, dobranej kolorem do bluzki, zmarszczone są i ujęte u dołu w plisę, naszytą sutaszem. Takież plisy zdobią spódnicę po bokach i pokrywają wszycie kieszeni umocowanych przy zeszyciu karczka z dolnym bokiem spódnicy.



№ 13. **Saszetka do chusteczek z siatkowej koronki i ażurowego haftu.** (Wzór na zamów. w adm. Bluszczu).

Potrzeba: $1^1/_2$ metra mat. 110 cent. szer. na bluzkę i 2 metry plecionki 2 cent. szer.; na spódnicę: $2^1/_2$ metra mat. 120 cent. szer., 17 metrów sutaszu 1 ctn. szer.



№ 14. **Okrągła serweta, zdobna modnym, płaskim, kolorowym, t. zw. „stylowym“ haftem.** (Wzór na zam. w adm. Bluszczu).

№ 10. **Kostyum z aksamitu, przybrany taśmą.** (Szkic № 10 i 10a). Krój fig. 62—71. na tabl. do № 5-6-7.

Nowym pomysłem jest w niniejszym kostyumie z czarnego aksamitu forma modnej spódnicy, ułożonej od góry w niezaprasowane fałdy, a po bokach ozdobionej naszyciem wązką, jedwabną taśmą, zakończoną guziczkami. Takaż taśma zdobi szerokie, oryginalne kieszenie żakiecika, wykończonego na podszewce. Naszycie kieszeni z boku kryje się pod fałdami złożonego przodu i tyłu, zastebnowanego od góry do stanu, ujętego po bokach paskiem z guziczkami. Przód żakietu zapięty na cztery duże guziki. Mankiety ozdobione stebnówką i guziczkami. Modny kołnierz może być wysoko zapięty i odłożony.

№ 11. **Okrycie z modnym kołnierzem, przybrane nastebnowanemi plisami.** (Szkic 11 i 11a). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Modne palto z czarnego lub kolorowego wełnianego materyału, które może być równie dobrze przybrane nastebnowanemi plisami, jak i taśmą—zwraca uwagę oryginalnym krojem kołnierza. Kołnierz ten, duży z tyłu, zaokrąglony, wykończony miękko, bez podłożenia z przodu, rozkłada się szeroko lub też może być noszony wysoko zapięty, a wtedy zapięcie tworzy przestebnowana, przewleczona przez kołnierz plisa. Także plisy zdobią mankiety i przechodzą przewleczone przez okrycie, łącząc skróconą w stylu „Empire“ część górną z dolną, długą częścią palta. Na bokach pod plisy te mogą być wpuszczone kieszenie. Przód wykończony po krawiecku, zapięty na duże guziki. Potrzeba: $3^1/_4$ mtr. mat. 120 cent. szer.

№ 12. **Poduszka przybrana modnym, płaskim, kolorowym t. zw. „stylowym“ haftem.** (Wzór na zamów. w admin. Bluszczu).

№ 13. **Saszetka do chusteczek z siatkowej koronki i ażurowego haftu.** (Wzór na zamów. w adm. Bluszczu).

№ 14. **Okrągła serweta, zdobna modnym, płaskim, kolorowym, t. zw. „stylowym“ haftem,** (Wzór na zam. w adm. Bluszczu).

PRZEPISY KUCHENNE.

Karp na szaro z jabłkami. Ponieważ ryba ta pojawia się dość obficie obecnie, pomimo swojej wysokiej ceny, podajemy sposób jej przyrządzenia dla wybranych od losu smakoszów: oczyścić z łuski i ze środka rybę, zebrać krew w ocet przegotowany, bo jest potrzebna do sosu, ugotować rybę w smaku z włoszczyzny, jednocześnie z rybą ugotować do połowy kilka jabłek kwaśnych, kompotowych, obranych i pokrajanych w grube plasterki, które dogotować w sosie do ryby następującym: łyżkę masła zarumienić z łyżką mąki, rozrobić smakiem, w którym się gotowała, dodać krew z ryby pozostałą, karmelu, cukru, dogotować jabłka, dobrać sos do smaku, powinien być gęsty—gorący karp ułożyć na półmisku, oblać sosem, ubrać plasterkami jabłka i cytryny. *A. N.*

Pożywna i tania zupa. Ugotować kartofle pokrajane w plasterki na lekkim smaku z włoszczyzny. Gdy już kartofle miękkie, wsypać zacierki zagniecione z kaszy manny, zrobione w następujący sposób: Na spory garnuszek zupy zagnieść kaszę mannę gorącą wodą, dodając sok z jednego dużego, utartego kartofla. Ciasto z kaszy dobrze wygnieść i posiekać na drobne zacierki. Gdy się z kartoflami dobrze parę razy zagotują—okrasić zrumienionem masłem z cienko pokrajaną cebulą lub słoniną.

O ile ktoś lubi zupę bardzo gęstą, można zasmażyć z masłem łyżeczkę mąki.

Sprostowanie.

W № 1-ym r. b. w „Radach praktycznych“ wkradła się pomyłka: Zwierzyny nie należy oczyszczać z wnętrzności, lecz zawieszać ją, jak było wskazane za przepis łapki, lub za szyję w całości. Powietrze, któreby się wewnątrz zwierzyny dostało, spowodowałoby szybszy rozkład. Tak samo należy postępować z drobiem. *H. Ch.*